

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KORNEL MAKUSZYŃSKI

Wielka Brama

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2001**

I

Najsłodsza wonią pachną w czerwcu akacje i wakacje. Woń akacji upaja pracowite pszczoły, rozkoszna woń wakacji w gorączkowe podniecenie wprawia młodych ludzi, których z jakąś trudnością można by przyrównać do pszczół obłąkanie pracowitych. Zdarzy się wśród nich niejeden truteń, niezmiernie łapczywy na miód, a ciężkim, rozdzierającym westchnieniem wzdychający na widok pracy.

Piotr Korecki był złotą pszczołą w rozszumiałym, tysiącem głosów brzęczącym szkolnym ulu. Pracował z tą słoneczną radością, która lata nad kwiecistym zagonem, niezmordowanie czynna; radość ta jest szczęśliwa, ponieważ świat jest piękny, pokropiony wodą rosy, zrumieniony rumieńcem wschodów, szyty złotymi niemi zachodów, wyprany z kurzów, pyłów i dymów w gęstym dżdżu burzy, napełniony gorącością słońca, a po dniu barwnym i świetnym płynący po wielkim, czarnym morzu ciszy, wpatrzony sennym okiem w gwiazdy. Piotr patrzył na świat oczarowanymi oczami młodości i wszystko wydało mu się piękne i takie czyste jak jego spojrzenie. Stał na samym brzegu życia i niezbyt daleko sięgał spojrzeniem. Nie wiedział jeszcze, co się dzieje tam daleko, za widnokretem, gdzie słońce zapada w złotokrwawej łunie; tu, przed jego oczami, życie barwiło się jak łąka o wczesnej wiosnie, kiedy ponad nią śpiewają beztrudnie szare grudki: skowronki. Miał dopiero piętnaście lat. Jego całym światem była szkoła, pełna radosnych głosów, taka właśnie łąka spryskana kolorami. Światek ten był malutki, a jednak tak wielki, że w nim, jak w państwie hiszpańskiego króla, nigdy nie zachodziło słońce. Stąd, z tego zakątka, wypływały, jak rzeki, wszystkie drogi na całą ziemię: trzeba było jedynie znać trudną, tajemniczą sztukę wielkich podróży. Na błękitnym znaczku pocztowym, który przemyślnym sposobem Piotr wycygał za dwa pióra i jedną bułkę od Tadzia Koniewicza, wymalowany był okręt. Zaprawny w srogich przedsięwzięciach podróżnik z czwartej czy piątej klasy brał w posiadanie fregatę, wywieszał na niej swoją własną banderę, werbował załogę z największych zabijaków i wypływał ze szkolnej przystani na Morze Przygody, na Ocean Marzenia, na Wyspy Szczęśliwe. Jakież król podróżował wspanialej, jakież Vasco da Gama zapłynął dalej? To nic, że na południowych wodach płomień buntu ogarnął fregatę... Oczywiście, że nikt inny, tylko jednonogi, fałszywie układny John Silver bunt ten rozkrzawił. Na Wyspie Skarbów uczynił przecie to samo... Kędzierzawy Genek znał na wylot Johna Silvera i kazał go rzucić w morze pełne rekinów.

Piotruś Korecki podróżował po wszystkich wodach świata, po błękitnych i szmaragdowych, po wiecznie spienionych i leniwie śpiących, ciężkich jak oliwa, po brudach wodnych o stalowym złym połysku i po falach ogromnych, pod chmury wzdętych pychą, ryczących jak lwy i dlatego jeszcze do lwów podobnych, że zmierzwił na łbach miały grzywy. Dotarł do dalekich ziem, które od początku świata morze brało sztormem jak niezdobyte twierdze; był na atolach koralowych, stojących w czuby palm; na czarnych łąkach błąkał się śmiertelnymi ścieżkami Livingstona i Stanleya w zatrutym oddechu puszczy, w ciężkich, dławiących oparach bagnisk. Przewędrował świat i coraz to nowe czynił wyprawy w porze najbardziej sposobnej: w łaskawym, znużonym zmierzchu wieczora. Ukończywszy lekcje, pracowicie i sumiennie, zęgnął się serdecznym spojrzeniem z senną ziemią i wkraczał radosnym krokiem na jacht, co w jego przystani kołysał się zawsze gotowy do podróży. Na zniszczonym szkolnym atlasie, w którym szumiały grzmącym szumem wszystkie morza, wykreślał drogę daleką, jak najdalej. Wczoraj był na Wyspach Salomona, dzisiaj odwiedzi perliste wody, na których srebrzą się w księżycowej poświacie Paumoty. Nie może zabawić tam długo, gdyż jutro musi być w szkole, w dalekiej Warszawie. Jeszcze zresztą nie czas na

wyprawy dalekie, na sine i we mgłach tonące krańce świata; dopiero za tydzień, kiedy wielki krzyk ogłosi wakacje, rozpocznie się podróż dokoła ziemi. Nie można ze zbyt ciężkim ładunkiem podróżować na malutkim okręciku z pocztowego znaczka, a książki szkolne należą do ładunków najcięższych.

Piotruś rad czynił te wyprawy w marzenie, z malutkiego mieszkania przy ulicy Dobrej. Ojca nie pamiętał, a matka umarła przed sześciu laty. Miała takie jasne oczy jak i on, tylko nie tak radosne. Oczy te patrzyły w niego niespokojnym spojrzeniem. Był zawsze chłopcem wesołym, burzliwym i żywym jak iskra, ile razy jednak matka przytulała go do siebie gwałtownym ruchem i długo, długo patrzyła w jego twarz, jakby ją sobie chciała zapamiętać, tyle razy czuł, że wesołość w nim gaśnie i jakiś niezrozumiały smutek pada na niego jak cień czarny i zimny. Powtarzało się to coraz częściej, coraz częściej. Patrzył na matkę rozumnie i widział, że jest bardzo blada, a jej oczy, wielkie i jasne oczy, tracą blask jak błękitne niebo, co szarzeje przed wieczorem. Razu jednego matka powiedziała dziwnie:

– Piotrusiu, nie patrz tak we mnie...

I przymknęła oczy.

Kochał ją tak gorąco, że każde jej słowo było dla niego święte. Już nie patrzył, lecz myślał w dzieciennym sercu:

– Czemu oczy mojej matki gasną?

Myślał o tym i w szkole, i wszędzie, i zawsze. Myślał o tym, kiedy jej nie było w domu, a nie było jej często, gdyż uczyła na mieście angielskiego języka, a on też był jej uczniem. Wpadała na krótką chwilę, siadała ciężko dysząc i odpoczywała z zamkniętymi oczami. Piotruś siedział wtedy cichutko, bez ruchu i nie śmiał odetchnąć. Wiedział, że matka zaraz otworzy oczy, swoje jasne oczy i spojrzy na niego tak cudownie i tak tkliwie, że w dzień najbardziej pochmurny zaświeci słońce. Wtedy obejmował jej szyję i całował jej oczy. Jednego dnia jednak stało się coś, co się dotąd nie stało nigdy jeszcze. Przyszła tak bardzo zmęczona, że wchodząc oparła się o drzwi; potem ciężko usiadła i powiedziała cichutko:

– Och, jaka jestem zmęczona...

Odpoczywała z zamkniętymi oczami, lecz otworzyła je po krótkiej chwili. Wtedy Piotruś ujrzał, że jej oczy nie są jasne i że są pełne łez. Podbiegł ku niej i nie umiał wypowiedzieć innych słów, tylko te dwa, które były jednym:

– Mamo, mamo!

Matka chciała się uśmiechnąć, ale nie mogła, tak jakby ją coś zabolalo. Przytuliła go tylko do piersi, a Piotruś słyszał, jak jej serce bije gwałtownie, szybkimi, zmaconymi uderzeniami. Wtedy zapytał nieśmiało:

– Czy ciebie boli serce?

– Boli, synku, boli... – odpowiedziała cichutko.

Już tego dnia nie wyszła i położyła się do łóżka. Piotruś patrzył na nią przenikliwie, a ona zaczęła się uśmiechać. Jakoś inaczej niż dotąd, uśmiechała się jednak i znowu oczy jej tak pojaśniały jak czyste wody, gdy na nie słońce swoje blaski kładzie. Potem zaczęła mówić jakoś dziwnie. Zdawało się, że nie mówi, lecz chodzi po ogrodzie i zrywa kwiaty, te tylko, co najpiękniej rozkwitły. Każde słowo było kwiatem:

– Kocham cię, Piotrusiu, dziecko moje jedyne... Uśmiechnij się, o tak!... Czy zapamiętasz sobie, co ci powiem?

– Zapamiętam, mamusiu!

– Więc pamiętaj, abyś miał zawsze czyste serce... Ludzie są dobrzy, synku, i ty zawsze bądź dobry dla ludzi... Nie czyn nigdy nikomu żadnej krzywdy, nikomu na świecie... Żadnemu bożemu stworzeniu... Obyś nigdy nie był głodny, ale jeśli będziesz miał odrobinę chleba, podziel się nią z tym, co nie ma ani okruszyny. Czy będziesz o tym pamiętał, Piotrusiu?

– Będę, będę!

Matka wyciągnęła ku niemu rękę i długo gładziła go po głowie. Potem znowu zaczęła mówić:

– Bądź zawsze dzielny... Nie bój się żadnej pracy... Pan Bóg cię nie opuści, dziecko moje... Kochaj radość...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale, widać, zerwała już wszystkie kwiaty w swoim biednym ogródku, czym się bardzo zmęczyła. Działo się z nią coś złego. Przez kilka dni przychodzili jacyś ludzie, cicho ze sobą szeptali i patrzyli na Piotrusia miękkim, dobrym spojrzeniem. Potem go wyprowadzili do sąsiadów, bo ktoś do matki miał przyjść bardzo ważny, tak ważny, że go oznajmiali srebrnym, rozplakany głosem małego dzwoneczka. Gdy go zawołano z powrotem, poczuł, że wszystko dookoła gdzieś się zapadło i jakby rozplynęło we mgle, a tylko oczy jego matki pozostały, jasne i ogromne. Patrzyła w niego takim mocnym spojrzeniem, jak gdyby go ujrzała po raz pierwszy w życiu. Znowu się uśmiechała! Przez ten czas, w którym go tu nie było, wymyśliła pewnie jakieś śliczne, najpiękniejsze słowo, ale pewnie nie mogła go sobie przypomnieć i dlatego znowu zamknęła oczy, powoli, bardzo powoli. Piotruś zawsze przemyka oczy, gdy sobie chce przypomnieć trudne słowo, tylko że je potem otwiera, a matka już ich nie otworzyła. Nie przypomniawszy sobie i zasnęła z wielkiego smutku. Powiedzieli mu, że umarła.

Piotruś myślał uporczywie, jakie to mogło być słowo, którego nie usłyszał? Dobrze pamiętał o wszystkich, które mu matka słodkim głosem powiedziała dawniej; wiedział, że ma „kochać radość”. Jeszcze tego dobrze nie rozumie, lecz kiedyś zastanowi się nad tym głęboko i pojmie, co to znaczy. Gdzie jest ta radość? Skąd się ją bierze? Z czego się ją przedzie?

Z ulicy Złotej, u której wylotu na ostatnim przystanku tramwajowym zachodzi słońce i całą ulicę złotym napęlnia kurzem, zabrano go na ulicę Dobrą, co patrzy ku Wiśle. Rad był z tego, bo odkrywszy w sobie gorące upodobanie do podróży, miał pod ręką wielką wodę i pocziwe, opasłe statki, chrapliwym głosem buczące. Przygarnął go pan Modlewicz, którego żona była daleką krewną matki Piotrusia. Był to mechanik w warsztatach samochodowych, człowiek milczący i chmurny. Miał płowe oczy, bystro patrzące i bardzo spracowane żyłaste ręce, tak uczernione czarnością ciężkiej pracy, że żadne mydło wybielić ich nie mogło. Twarda to była dusza, jak gdyby sękata, lecz uczciwa i prosta. Z trudem ogromnym wydobywał kawałek chleba z żelaza i stali, a często padał na ten chleb rosisty, umęczony pot. Może dlatego nigdy się nie uśmiechał i może dlatego skąpił słów, których szukał jak gdyby z trudem. Nie miał czasu na długie gadanie. Przywykła już do tego jego żona, kobieta smutna i cicha, i dorastająca córka. Modlewiczowa miała twarz wiecznie zdziwioną i wiecznie zatroskaną, jak gdyby w smutnej duszy ważyła jakieś ciężkie zagadnienie, którego nie mogła rozwikłać. Dziwiło ją wszystko, co się działo dokoła niej, a najbardziej dziwiło ją to, że tysiąc czarnych trosk i czarne zgryzoty, którymi nieustannie i uporczywie zaczynał się każdy dzień, nie powaliły jej i nie odebrały jej sił. Smutno było w tym domu, a w powietrzu jakby się unosiła szara, ciężka mgła, jak opary mydlin w pralni. Zdawało się, że żaden kwiat nie mógłby kwitnąć w mieszkaniu, do którego słońce nigdy nie zajrzało, bronił mu bowiem wejścia wysoki, odrapany, liszczami wilgoci pokryty mur.

Przyprowadzono tam Piotrusia, zalęknętego i nie zdającego sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje.

– Będziesz u nas – rzekła cicho, bezbarwnym, wypłowiałym głosem Modlewiczowa. – Nie pójdziesz na ulicę, biedactwo.

Stary, chmurny robotnik spojrział na chłopca płowym spokojnym spojrzeniem i nie powiedział ani słowa. Westchnął tylko ciężko i położył mu na głowie sękatą ciężką rękę. Jak gdyby wiedział, że ta okrutnie spracowana ręka ma wagę młota, uczynił to ostrożnie i delikatnie. Znaczyło to: – „Bądź pozdrowiony, chłopcze, w moim biednym domu. Mój chleb będzie twoim chlebem...” – Córka Modlewiczów pomogła Piotrusiowi ułożyć w kącie jego skarby: książki, atlasy i kilka przedmiotów nieznanego przeznaczenia i do nieznanego służące

użytku. W jednym rogu izby urządzono mu tapczanik, w milczeniu wskazano stół, przy którym będzie jadł i przy którym będzie się uczył i w ten sposób zamianowano go członkiem rodziny. Była to uroczystość prosta i niewymyślna: uczciwi ludzie przygarnęli sierotę, żadnego nie okazując zdziwienia, że oni właśnie to czynią i nie żądają żadnych podziękowań. Piotruś rozumiał jednak, że ci nieznani ludzie czynią coś takiego, za co musi im być wdzięczny. Modlewiczowa w ostatnich dniach odwiedzała codziennie jego matkę i karmiła go troskliwie. Matka powiedziała mu, że ludzie są dobrzy. On rozumie, że tak jest. Musi być dobry ten chmurny człowiek, co twardą ręką gładził jego głowę, musi być dobra ta zdziwiona kobieta i ta dziewczyna, co z nim jedyna rozmawia, a czasem cichutkim głosem, cienkim jak nitka, nieśmiało śpiewa, gdy nikogo nie ma w domu. Piotruś jest jednak nieco strwożony, bo nikt się do niego nie uśmiecha, lecz w tym domu nikt nie uśmiecha się do nikogo. Powoli przywykł do tego i szanował milczącą, spopielałą, zatroskaną ciszę tego domu. Nieraz chciał krzyknąć, gdy jakaś nagła radość trysnęła z ukochanej jego książki, lecz ją uciszał. Radość swoją nosił w sobie i nosił ją w młodych jasnych oczach. Smutni ludzie patrzyli czasem w te jego rozradowane i pełne rozbłysków oczy z chmurną ciekawością. Pani Modlewiczowa miała wtedy na twarzy więcej zdziwienia niż zwykle i wpadała w zadumę, jak gdyby sobie coś przypominała z uciążliwym trudem. Bywały chwile, w których serce Piotrusia, głęboko czymś przejęte i bardzo wzruszone, musiało przemówić. Zbliżał się nieśmiało do Modlewicza i zaczynał mówić o czymś dziwnym czy radosnym, najpierw nieśmiało, lecz potem coraz żywiej i coraz goręcej. Słowa zaczynały fruwać jak ptaki i jedne goniły drugie. Zaczynały śmiać się, pokrzykiwać i tryskać z perlistą radością fontanny. Smutny, twardy człowiek spoglądał na niego z nagłym zdziwieniem, lecz potem pochylał się powoli i słuchał. Jakby oszołomiony, dotykał czarną ręką czoła, a w oczach zaczynało mu migotać jakieś ledwie widne światelko. A razu jednego, kiedy Piotruś przerwał swoje cwałujące po dalekim świecie opowiadanie, robotnik rzekł cicho:

– Mów dalej!

Piotruś mówił coraz częściej i wyniósł ze swojego ubogiego spichrza wszystkie ziarna słów. Już ich nie miał więcej. Wtedy wpadł na pomysł, aby ich szukać w najbogatszym spichrzu świata: w książce. W niedzielne popołudnie brał książkę, taką najpiękniejszą, w której ryczy rozsrożone morze i po której wieją wichry, pełną słońca i wielkiej przygody, i nikogo o nic nie pytając zaczynał ją głośno czytać. Znał w tej książce każde słowo, sto razy przez nią przebiegł jak przez zaczarowany ogród, a jednak zdawało mu się, że wszystko w niej jest nowe: i morze, i wichry, i okręty. Oni słuchali w wielkim milczeniu, jak gdyby im ktoś ogromną wyjawiał tajemnicę. Milczeli też długą chwilę potem, kiedy Piotruś, z wypiekami na twarzy, zagnał korsarski okręt w gardziel Amazonki. Wreszcie któreś z nich westchnęło, a Modlewicz rzekł nieswoim głosem:

– Świat jest piękny...

Może byłby powiedział jeszcze jedno słowo, bo jego usta drżały, ale w tej chwili spojrzął przez bielmo okna na zły, liszajami pokryty wysoki mur, co ich odgrodził od tego pięknego świata, i zamilkł.

Następnej niedzieli wszyscy troje jakby się zmówili, bez wypowiedzenia jednego chociażby słowa, usiedli w niemym oczekiwaniu. Piotruś spojrzął na nich rozradowanym szczęśliwym wzrokiem i sięgnął do swojej biblioteki. Dotykał każdej książki wahając się, którą wybrać, a wtedy czarny robotnik rzekł nieśmiało:

– O morzu, chłopcze...

Znowu wypłynęli na dalekie siwe morza, gdzie ich goniła burza. Wicher, w szaleństwie nieposkromiony, rozwalił dom przy ulicy Dobrej, jednym podmuchem zniósł zły, wstrętny mur, porwał ich na grzbiet i gnał w stronę bieguna na połów wielorybów. Żagle trzaskały, jak gdyby strzelała bateria dział, ocean rycząc podnosił się ku niskiemu pułapowi nieba, trzeszczały wszystkie wiązania okrętu. Ponad burzę jednak, ponad zmacone i na wicherze

stargane głosy wystrzelał jasny, dźwięczny głos Piotrusia. Wtem Piotruś krzyknął, gdyż fala gniewem wzdęta chwyciła łódź, podniosła ją i straszliwym drapieżnym ruchem wgniotła w burą, rozchybotaną, pianą wściekłości pieniającą się otchłań. Sześciu ludzi nie wypłynęło już na boży świat. Piotruś przestał czytać na krótki moment, a wtedy wśród zdyszanej ciszy ozwał się drżący, łzami obłany głos Modlewiczowej:

– Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie!...

– Amen... – szepnął stary Modlewicz i otarł ręką czoło.

Piotruś coraz rozumniej patrzył na tych milczących ludzi. Już wiedział, że to nie gniew ani niecierpliwość, nie złość żadna ani niechęć każą im żyć życiem milczącym. To wielki trud życia zdławił w nich słowa. Nie zdołał jednak zdławić ich tęsknot ani tak w ręce zimnej i kościstej ścisnąć ich biednych, wyczerpanych i zgryzotami pobitych serc, aby nie marzyły o czymś wielkim, wspaniałym, groźnym i burzliwym. Serca te zaczerpnęły szerokiego oddechu wiatru i uczyniło im się lżej. Mały chłopak zaczął rozumieć ich lęk pełen grozy na widok sterczącego wciąż przed oczami muru; zaczął pojmować wieczne zdziwienie na twarzy zapracowanej kobiety, która zdawała się pytać zdziwionym spojrzeniem: – „Czy ziemia otoczona jest murem? Czy nie ma nigdzie wyjścia na świat, o którym powiadają, że jest wielki i pełny słońca?”

Gdy już wyczerpał bogactwo swojego księgozbioru, pożyczał dziesiątki książek i przynosił je do smutnego domu jak radosną nowinę. Szukał takich tylko, w których szumią lasami dalekie nieznane ziemie, w których słońce pierś sobie rozdziera o ostre szczyty gór, i takie, w których człowiek walczy z burzą i piorunem, z zasadzką puszczy, z gniewem morza, z obłądną śnieżycą, walczy i zwycięża. Wodził tych smutnych, zatroskanych ludzi po nieskończonych szlakach świata, po drogach, które wiodą w nieznane. Może tym się im odwdzięczy, może tym im zapłaci za okruszynę chleba, zdobytą w pocie czoła? Matka kazała mu być radosnym, więc szuka tej radości po całym bożym, słonecznym świecie, chwytą ją w chłopięce dłonie i przynosi ją, jak kryształową rzeźwą wodę, spragnionym biedakom, co mają spieczone usta. Teraz mu się zaczęło wydawać, że ich milczenie, jak gdyby cokolwiek odtajało, jakby zelżał mróz, co ściany tego domu sinym oblekał szronem. O, Bogu niech będą dzięki! Może się kiedyś stanie taki cud, że się uśmiechnie twarzą, jakby w kamieniu kuta, dusza tego śmiertelnie znużonego człowieka? Może przestanie się dziwić ta dobra kobiecina i powie cichutko: – „Widziałam radość!” – Może jednego dnia ta blada dziewczyna, poruszająca się z takim trudem, jak gdyby po ciężkiej wstała chorobie, nagle zaśpiewa?

Niezmiernie dobrzy są ci mroczni ludzie. Piotruś wiedział o tym, że Modlewiczowa podzieliwszy chleb zastanowi się czasem przez chwilę, potem ze swojej części odłamie jeszcze jeden kęs i przykłada go do jego części. Wiedział o tym, że kiedy na początku szkolnego roku trzeba było kupić dla niego książki, czarny Modlewicz długo tarł czoło, potem wyszedł. Przyniósł książki, lecz gdzieś się zapodział srebrny zegarek, taki chyba stary jak sam Czas. Niejeden raz widział, jak o świecie, jeszcze w sennym mroku, dziewczyna łąta jego koszule albo zatroskanym spojrzeniem przygląda się jego kamaszom, co smętny miały wygląd. Uczyniło mu się nieswojo. Milcząca dobroć tych biednych ludzi dokonywała jakiegoś bohaterstwa, byle tylko ten prawie obcy chłopiec mógł chodzić do szkoły i aby nie był głodny. Kochał ich uczciwie i gorąco, lecz zaczął patrzeć na nich z niepokojem. Być może, że wniósł do ich domu marną odrobinę radości, lecz za to zabierał im tę odrobinę chleba. Rozumie już wszystko doskonale, ma już przecie piętnaście lat. Przez sześć lat jadł ich chleb, przez sześć lat zabierał im powietrze nieszczęsnego mieszkanka. A o ten chleb jest coraz trudniej. Stary Modlewicz, wstając o świecie, stąpa ciężko i czasem westchnie tak smutno, że to westchnienie jest jękiem. Coraz częściej szepce o czymś z żoną, a ona po takiej rozmowie patrzy długo w ziemię, jak gdyby tam ukryta była jakaś bezcenna rada.

Piotruś zaczął rozmyślać. Trwożąc się, aby kto jego chmurnych myśli nie podpatrzył, czynił to o zmroku i nigdy w mieszkaniu, lecz zawsze na wymarzonych i dalekich ziemiach.

Ładował na jakiejś samotnej, skalistej, na pustkowiu morza zagrzebanej wysepce, siadał pod palmą i tam rozmawiał sam ze sobą.

– Jestem ciężarem dla biednych ludzi. Co mam uczynić? Wiele jeszcze przeminie lat, zanim będę mógł pracować. A czy znajdę i wtedy pracę? Kazała mi matka być dzielny... Wierz mi, matko, że będę dzielny. Kazała mi jednak, abym nigdy nikomu nie uczynił krzywdy, a ja przecie krzywdzę tych ludzi. Kocham ich i krzywdzę. Co począć, co począć?

Nazajutrz w szkole miał minę zatroskaną.

– Co ci jest? – zapytał go dobry przyjaciel, śmieszny chłopak, Ziembicki.

– Mam wielkie zmartwienie – odpowiedział Piotruś.

– Posmaruj sobie serce jodyną! – rzekł przyjaciel.

Piotr uśmiechnął się z przymusem. Poszedł nad Wisłę, w której kąpało się słońce i w której w błyskawicznym locie przeglądały się czarne, jakby dymem osmolone jaskółki. Patrzył na wodę, spokojną, lecz uparcie walącą przed siebie; coś ważył w duszy. Za tydzień rozpoczną się wakacje, pszczoły z ula rozlecą się na wszystkie strony, a jemu zabraknie nawet tych kilku groszy, które zarabiał korepetycjami. Po wakacjach trzeba będzie znowu iść do szkoły, a przecie stary Modlewicz nie posiada już drugiego zegarka. Jest już winien kilka złotych w sklepiku za chleb i za masło, które mu dawano do szkoły. Przekacny ten człowiek jest już stary, a jeszcze bardziej zmęczony; jednego dnia zabierze mu jego czarną pracę ktoś młodszy i dzielniejszy. Trzeba im ulżyć. Trzeba odejść... Ale dokąd? Wszystko jedno dokąd, byle nie zabierać im resztek chleba.

Rozwagał długo, siedząc nad wodą i wracał tu przez dwa dni następne, jak gdyby woda, z dalekich gór płynąca, miała mu przynieść wielką radę. Wreszcie postanowił. Wieczorem, kiedy wszyscy byli w domu, Piotruś zdecydowanym krokiem zbliżył się do Modlewicza, którego nazywał wujem.

– Wuju – rzekł głosem drżącym – ja mam ważną sprawę...

– Mów! – rozkazał Modlewicz.

– Powiem krótko: przygarnęliście mnie... Przez sześć lat jadłem wasz chleb... A wy go nie macie za wiele.

– Wystarczy... – powiedział cicho szanowny człowiek.

– Nie wystarczy! Jutro może go zabraknąć... Dlatego postanowiłem... Dlatego postanowiłem odejść.

– Dokąd? – wtrąciła cicho dziewczyna z ciemnego kąta.

– Nie wiem jeszcze... Pomyślę. Świat jest wielki, a ja jestem młody. Uczynię to z ciężkim sercem, gdyż kocham was... O, jak bardzo was kocham... Odejdę... Wystarczy mi tego, co umiem, a reszty nauczę się na świecie... Chciałem wam tylko podziękować... Jesteście tacy dobrzy, tacy dobrzy! Do końca życia nigdy was nie zapomnę... Zawsze będę pamiętał.

Ostatnie słowa skropliły się w łzy, z największym trudem wstrzymywane. Oni słuchali w milczeniu głuchym i udręczonym. Modlewiczowa miała na twarzy wyraz niepomiernego zdziwienia. Stary robotnik rozmyślał z takim trudem, jak gdyby orał ciężką czarną ziemię. Odwalił głęboką skibę i wy dobył z niej słowo:

– Dobrze, chłopcze...

Nagle zwrócił się w stronę ciemnego kąta i zapytał twardo:

– Kto to płacze?

Cichutki płacz zamilkł w tej chwili, a Modlewicz znowu zbierał myśli i zgarniał je ku sobie.

– Dobrze, chłopcze – powtórzył. – Idź!... Ale pamiętaj, że gdybyś ginął gdzieś na świecie, wracaj... Podzielimy się ostatnią okruszyną. Nieprawda, matko?

Modlewiczowa nie odpowiedziała, tylko wyciągnęła obie ręce w stronę Piotrusia, a on objął ją i całował niezmiernie zdziwioną twarz.

Nie mógł usnąć długo w nocy. Mieszkał w jednej izdebce razem z Modlewiczem i słyszał,

że robotnik też nie śpi. Wiedzieli o sobie nawzajem, że czuwają. Około północy Modlewicz podniósł się cicho z tapczanu, zbliżył się do Piotrusia i szepnął:

– Piotrze... Idź na morze!

II

Piotruś czekał jedynie na ostatni dzień szkolnego roku, a za dwa dni wyruszy w świat. Przedtem zwierzył się Jurkowi Perłowskiemu:

– Jurek, powiem ci coś w największej tajemnicy, jeśli nikomu nie powtórzysz.

– Za żadne skarby świata! U mnie tajemnica jak w grobie. Gadaj prędko!

– Za dwa dni wybieram się w świat.

– Nie może być!

– To postanowione... Będę szukał pracy i wybieram się nad morze. Na ziemi jest ścisk, a na morzu pewnie łatwiej.

Jurek, do głębi przejęty, pobiegł czym prędzej i pod wielką przysięgą opowiedział o tej nadzwyczajnej historii Krzysiovi Wilczkowi, Wilczek pobiegł wspaniałym pędem do Tadzia Podoskiego, Tadzik do Żebrowskiego, Żebrowski do Czaplicy, Czaplica do Wyszyńskiego, Wyszyński do Domagalskiego, ten do dwudziestu czterech innych przyjaciół. Jeden drugiego zaklinał, aby nikomu nie powtórzył ani słówka z historycznej rozmowy, bo Piotruś nie pragnie rozgłosu. Każdy przyjmował tę niebywałą nowinę z dreszczem podziwu i zachwytu, równocześnie jednak każdy pomyślał o tym, że w szkole zabraknie kogoś, kto sobie zdobył wszystkie serca. Na zawsze odejdzie z niej chłopiec radosny, z jasnym spojrzeniem, towarzysz najmilszy. Niejednemu z nich łzy zakręciły się w oczach. Zdawało się, że to młoda, jasna, czupurna i zawadiacka dusza szkoły płacze. Prędko jednak ocierali rękawem załzawione oczy, mężczyźni bowiem nie płaczą; zresztą Piotruś, wśród rozgarniętych najbardziej rozgarnięty, wśród wielkich wędrowców wędrowiec słynny i najbardziej doświadczony, wie, co czyni. Wszystko zapewne rozważył i wszystko obmyślił. I jemu chyba żal opuścić braterskie zgromadzenie, twarzą przeto konieczność gna go ze szkoły i pędzi gdzieś daleko, gdzie będzie samotny. Wiedzą koledzy, jak kto siedzi. Toteż w dniu ukończenia szkolnego roku zaczęła się dziwna wędrówka na ulicę Dobrą.

Przyszłed pierwszy Krzyś Wilczek, niby tak sobie, z wizytą.

– Piotrusiu – powiada – ja do ciebie ze śmiesznym interesem. Pomyśl sobie, szukam dzisiaj czegoś w szafie, aż tu patrzę: buty! Słowo daję, nowe śliczne buty. Ktoś je musiał tam włożyć, sam nie wiem kto. W sam raz na twoją miarę... To chyba twoje, czy jak?

– Nie, to nie moje.

– Niemożliwe! A czyje mogą być? Wszystkich pytałem, a każdy mówi: to chyba Piotrusia. Zresztą, co mnie to obchodzi? Byłeś u mnie tyle razy, zostawiłeś buty, a potem zapomniałeś, więc ci je odnoszę.

– Czemu łiesz? – zapytał Piotruś miękko.

– Żebyś tak zdrow był! Zresztą spójrz na swoje buty! Czy w takich buciorach możesz wybierać się w świat?

– O, to ty wiesz? – zdumiał się Piotruś.

– O czym? – zaczerwienił się Krzyś. – Ja o niczym nie wiem! Że też ty zaraz jakieś posądzenia, domysły... Pewnie pojedziesz gdzieś na wakacje, a mnie się przegadało, że w świat... Nie znasz mnie? Zawsze coś takiego powiem ni w pięć, ni w dziewięć. Bądź zdrow, bracie... Strasznie cię kocham! Morowy z ciebie chłop... Bądź zdrow!

Niespodzianie rzucił się Piotrusiowi na szyję, uściskali się mocno i Krzyś wybiegł. Po drodze trafił w ścianę zamiast we drzwi, wyrócił stół i omal nie wyrócił serdecznie

zdziwionej Modlewiczowej. Piotruś patrzył za nim z rozrzewnieniem, potem z uśmiechem spojrzął na nowe buty. Tymczasem wpadł inny przyjaciel i zdyszczym głosem opowiedział, że znalazł dwie nowe koszule, tu niedaleko, nad Wisłą, ze znakami P. K. i od razu się domyślił, że to Piotruś je zgubił; przyszedł Tadzio Koniewicz i długo gadał, i długo kręcił, a po jego odejściu Modlewiczowa przyniosła nową walizczkę i bez słowa postawiła ją przed Piotrusiem. Przewinęło się ich z piętnastu przez ciemne mieszkanko, a każdy tak cudownie łął i tak przedziwne zmyślał historie, że Piotruś zdumiał się:

– Przecie oni wszyscy wiedzą!

Każdy przybył z zawitym, rozpaczliwym kłamstwem i każdy coś przyniósł, choćby drobiazg najmniejszy, książkę czy ołówek, chustki do nosa, igły i nici. Niejedna matka szukała dnia tego nadaremnie przyborów do szycia.

Gdyby była wiedziała, dokąd powędrowały, miałyby łzy w oczach.

Pod wieczór przyszedł nieśmiało Jurek, ten „wtajemniczony”.

– To dziwne – mówił niepewnie – ale cała klasa wie o twojej wyprawie. Ciekawe, skąd się mogli dowiedzieć, bo przecie ja ani pary z ust...

– Nie szkodzi, nie szkodzi! – zaśmiał się Piotruś. – Musiało o tym być w gazecie.

– W gazecie, powiadasz? To oni piszą o takich sprawach? Możliwe, możliwe... Więc kiedy ty, przyjacielu?

– Jutro, najdalej pojutrze...

– A dokąd?

– Do Gdyni. A stamtąd, czyja wiem? Jeśli nie zginę...

– Ty byś miał zginąć? Nie, nie, nie zapalaj lampy... Przyjemnie się rozmawia... Widzisz, Piotrusiu, gdyby nie moje matczyńskie, poszedłbym z tobą. Strasznie u nas jest głodno i smutno. I bardzo jestem zmęczony. Uczyłem siebie, nauczyłem innych, w ostatnich tygodniach spałem po cztery godziny, aby zarobić parę groszy. A ty, czy masz jakie pieniądze?

– W Banku Angielskim – zaśmiał się Piotruś. – Każę sobie przysłać.

– Tak... tak... – szepnął Jurek i długo rozmyślał. Podniósł się niespodziewanie, zbliżył twarz do twarzy przyjaciela, jak gdyby chciał ją sobie zapamiętać. Objął go rękami i pieszczotliwym ruchem gładził go po ramionach; potem mu ręka opadła tak, że palcami zaczepił o kieszeń Piotrusia.

– Niech ci Bóg pomaga – rzekł urywanym, drżącym głosem. – Wróc do nas, bracie... Niech ci... Bądź zdrow...

– Jureczku... – szepnął Piotr. – Jureczku...

Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

Usiadł potem i rozmyślał w mroku nad cudem przyjaźni. Serce miał wypełnione wzruszeniem, czystym i słodkim. Było mu żal opuszczać tych chłopaków serdecznych, a jednocześnie rad był i szczęśliwy, że jego wyprawa dała mu poznać, ile miłości płynie za nim na nieznanne drogi. O, koledzy! O wszystkim można zapomnieć w życiu, lecz o tych złotych uśmiechach przyjaźni zapomnieć nie można. Słoneczny poranek nie uśmiecha się piękniej i bardziej czystym uśmiechem.

W tej chwili włożył rękę w kieszeń i drgnął. Kieszeń była pusta, a cóż to znaczy? Zapalił światło i spojrzął na dłoń: pieniądze! Dwa złote samymi miedziakami, uciulane, długo zbierane, wygrzebane ze skały. O, Jurku! O, Jurku!... Nie będziesz jadł przez dwa dni, ale nie będziesz smutny... Będziesz się uśmiechał, żeś tak przemyślnie włożył je do kieszeni przyjaciela!

Nie wolno wzruszać się, nie wolno... Piotrusia coś chwyta za gardło, coś łagodnie, miękko dotyka jego serca, ale opanował się szybko. Jutro wybiera się na wielką wyprawę, nie pora przeto na tkliwe zadumy.

Plan ułożył najprostszy: ponieważ wie o tym, że budują wspaniałość Gdyni, przeto trzeba rąk do tej budowy. Należy udać się do Gdyni. Jak? Można pociągiem, można okrętem, Wisłą.

Wodą taniej, ale chociażby było najtaniej, Piotr nie ma na to pieniędzy. Zamiast pieniędzy można zaoferować pracę. Praca jest najprawdziwszym, najbardziej złotym pieniądzem.

Jeszcze nie otwarto biur Żeglugi Rzecznej, a Piotruś już był na posterunku, pod bramą; stał nieruchomy jak sztyldwach i liczył wchodzących ludzi.

– Któryś z nich musi być tym, który może rozkazać, aby mnie przewieziono – pomyślał. – Już czas!

Woźnemu oświadczył, że w niesłychanie ważnej sprawie musi się rozmówić z najgłówniejszym dyrektorem.

– A z mniejszym nie można? – zapytał woźny.

– Tylko z najgłówniejszym! – rzekł Piotruś groźnie. Woźny obejrzał go starannie; niezbyt dokładnie patrzył na twarz, lecz na zewnętrzny przepych tej ważnej osoby; porozmawiawszy z duszą uznał, że osoba przedstawia się wcale nieźle, gdy jednak, kończąc badanie, spojrzął na nowe błyszczące buty Piotrusia, skinął z uznaniem głową. Buty go pokonały.

– Spróbuję! – powiedział życzliwie.

– Niech Bóg panu zapłaci! – rzekł Piotruś serdecznie.

Woźny spojrzął na niego z litościwym uśmiechem, który dość wyraźnie oświadczył, że w tym wypadku można się spodziewać nagrody jedynie ze szczodroblivej ręki boskiej, pozory bowiem, olśniewające świetnością butów, często mylą.

Piotruś wszedł do obszernego gabinetu i uklonił się energicznie jakiemuś miłemu panu, na którego twarzy ujrzał zdziwienie. Przywykwszy do nieustannego zdziwienia na twarzy Modlewiczowej, nie przejął się tym zbyt.

– Czego młodzieniec sobie życzy? – zapytał dyrektor.

– Pragnę wyjechać Wisłą do Gdyni! – rzekł śmiało Piotruś.

– I po to tylko pan przyszedł, aby mi o tym oznajmić?

Piotruś drgnął, po raz pierwszy w życiu nazwany „panem”.

Jeżeli jestem „pan” – pomyślał – wszystko przepadło. Począł mówić z wielkim szacunkiem, ale śmiało.

– Tak, panie dyrektorze! Nie śmiałbym pana trudzić, ale mi się bardzo śpieszy. Ja muszę wyjechać do Gdyni!

– Więc cóż z tego? Proszę pójść do przystani, kupić bilet i pojechać. Szczęśliwej podróży!

– Do przystani mogę pójść, ale biletu nie kupię, bo zażądam pieniędzy...

– Oczywiście, że zażądam! – zdumiał się dyrektor.

– A ja nie mam pieniędzy – rzekł Piotruś.

– Luby młodzieńcze, niech mi pan nie zawraca głowy.

Czego pan właściwie chce?

– Przyszedłem prosić... serdecznie prosić, aby mnie pan kazał przewieźć, a ja zapłacę moją pracą. Wszystko mogę robić... Jestem silny...

Dyrektor wzruszył niecierpliwie ramionami.

– Nie możemy robić takich interesów. Bardzo mi przykro, ale nie możemy. Na statku żadnej pracy pan nie znajdzie, gdyż od tego są stali robotnicy. Naprawdę mi przykro... Do widzenia, młody panie...

Piotruś opuścił głowę i bardzo zrobiło mu się smutno; chciał uczynić pierwszy krok i utknął na brzegu a statek odjechał. Nie odszedł, bo jeszcze musi coś powiedzieć. I mówi:

– A Jim Cader, proszę pana dyrektora, popłynął za darmo z Singapuru do San Francisco... To trochę dalej niż z Warszawy do Gdyni.

Dyrektor spojrzął na niego, nie rozumiejąc.

– Jaki Jim Cader?

Piotruś ożywił się i tłumaczył szybko:

– Jim został sam w Singapurze, bo jego rodzice umarli, a w San Francisco mieszkała jego ciotka. Poszedł do kapitana wielkiego okrętu i opowiedział mu o wszystkim. Powiedział mu,

że w Singapurze umrze z głodu, a jeśli go zabiorą na okręt, będzie pracował za dziesięciu i kapitan go zabrał. Czy pan dyrektor nie czytał »Przygód Jima Cadera«? To dziwne, bo to śliczna książka.

Dyrektor podniósł się z krzesła i zbliżył do Piotra.

Spojrzał na niego uważnie, spotkawszy zaś czyste, jasne i śmiałe wejrzenie uśmiechnął się.

– Nie czytałem tej książki – mówił łagodnie. – Czy ty, chłopcze, jesteś taki Jim Cader?

– Tak, panie... Ja też jestem sam... W Gdyni nie mam ciotki, ale tam jest morze, a nad morzem łatwiej o pracę.

– Albo łatwiej, albo trudniej. Usiądź no tutaj, młody człowieku, i powiedz mi wszystko o sobie.

– Może pan nie ma czasu?

– Wszystko jedno... Gadaj, chłopcze, byle krótko!

Piotruś usiadł nieśmiało i począł opowiadać krótkie dzieje krótkiego swego życia: o swoim sieroctwie, o dalekich podróżach „na niby”, o przeczytanych książkach, o szkole i przyjaciółach, którzy go żegnali, o butach i o koszulach.

– Niech pan pomyśli – dokończył – co bym im powiedział, gdybym nie pojechał. Czyż to możliwe?

– Tak, tak to niemożliwe! – zaśmiał się dyrektor, ale jakoś dziwnie serdecznie. – Więc pojedziesz, drogi chłopcze, pojedziesz... Ja też kiedyś, bardzo dawno... Ale to wszystko jedno! Dzielnie się bierzesz do rzeczy i da Bóg, że nie zginiessz. Na imię ci Piotruś, czy tak?

– Tak! – odrzekł rozrzuwniony chłopiec. – Nazwisko: Korecki.

– Kto ci powiedział, żebyś się zwrócił do mnie?

– Nikt. Pomyślałem, że pan rządzi Wisłą, a Wisła płynie do morza.

– Temu nie można zaprzeczyć, przynajmniej wszyscy tak mówią – śmiał się dyrektor. – Kiedy chcesz jechać?

– Zaraz!

– To cokolwiek niemożliwe, bo musiałbym ci dać osobny okręt. Pojedziesz jutro rano, o dziewiątej.

– Dziękuję panu – rzekł Piotruś z męską powagą. – Co mi pan każe robić na okręcie?

– Uważaj, abyś nie zabłądził i płynął wprost do Gdańska. Nic innego robić nie będziesz. Pojedziesz statkiem towarowym. Poczekał chwilę!

Dyrektor usiadł przy biurku i pisał szybko.

– Ten list oddasz kapitanowi statku „Jagiełło”. Wszystko w porządku. Daj rękę, chłopcze... Bądź zdrow, Jimie Cader!

Piotruś wahał się przez chwilę, potem powiedział cicho:

– Czy... czy pan pozwoli, abym pana uściskał?

– Wał, bracie! – zawołał wesoło dyrektor objawszy chłopaka serdecznie. – Jesteś pierwszym pasażerem, który mnie ściska. Bądź zdrow, bądź zdrow...

Patrzył za Piotrusiem z rozrzuwnieniem w oczach, z dobrym uśmiechem na twarzy. Po chwili telefonował:

– Zgłosi się do pana młody chłopiec... Tak, z listem... Niech pan wszystko uczyni, aby mu było dobrze... Chłopiec jak złoto... Kocha morze i jedzie na jego zdobycie... Tak, tak! Przejazd, jedzenie, wszystko za darmo... O, ja wiem, że się pan nim zajmie... Dziękuję, dziękuję... Że co? Że jestem wzruszony? Zdaje się panu...

Do widzenia!

Nazajutrz, o świcie żegnał się Piotruś z Modlewiczami. Dzień był słoneczny, bo na lizajach straszliwego muru lśniły złote odbłaski i szybko gasły dotknawszy rzeczy plugawej. Wszyscy wstali o świcie i chmurnym spojrzeniem wodzili za Piotrusiem, który w małej walizeczce układał swoje rzeczy. Czynił to z drżeniem rąk. I głos mu zadrzał, kiedy mówił:

– Niech te książki zostaną u was... Będziecie mnie pamiętali...

– My będziemy zawsze pamiętali – powiedział Modlewicz.

Pożegnanie odbyło się szybko, jak gdyby wszyscy lękali się, że jakieś łyzy wytrysną z zasypanego źródła. Modlewiczowa uczyniła znak krzyża nad głową chłopca, a stary robotnik powiedział twardo:

– Czas na ciebie.

I odwrócił się czym prędzej.

Piotruś szedł powoli, jakby dźwigał wielki ciężar; obejrzał się kilka razy, ale nikt za nim nie wyszedł. Mogło się zdarzyć, że albo w nich się coś załamało i tryśnie z nich taki krzyk jak struga serdecznej krwi i zatrzymają go, albo też w jego chłopięcej duszy zbudzi się taki wielki żal za tymi ludźmi, że czym prędzej do nich powróci.

– Bądź dzielny, bądź dzielny! – mówił sam do siebie.

Na przystani, u podnóża Zamku Królewskiego, ujrzał statek z napisem: „Jagiełło”. Gdy Piotr zbliżył się do brzegu, otoczył go krzykliwy zgiełk, z którego czasem wytryskiwał donośny okrzyk człowieka dźwigającego ciężar. Woda chlupała miarowo o cembrowinę brzegu, mokrym, zachłystującym się głosem bełkocąc wciąż to samo. Rzeką płynęło roztopione słońce, jak złocista oliwa wylana na wodę. Gdzieś za mostem buczał astmatycznym głosem statek pnący się pracowicie i ciężko dysząc w górę rzeki.

Piotruś wszedł śmiało na pokład „Jagiełły”, trzymając list w rękę. Zdumiał się, gdy młody marynarz, ujrzawszy go, krzyknął do kogoś na statku:

– Nasz chłopak przyszedł!

– Dawać go tutaj! – odkrzyknął głos.

Stanął przed człowiekiem w mundurze marynarskim, szurnął nogami na powitanie jak przed profesorem w szkole i podał mu list. Kapitan czytał jednym okiem list, a drugim, zdawało się, pilnie mu się przyglądał.

– W porządku! – rzekł kapitan. – Za dziesięć minut jedziemy.

– Czy mogę tu pozostać? – zapytał Piotruś.

– Oczywiście! Czy chcesz pożegnać Warszawę?

– Tak jest, proszę pana kapitana. Nie wiem, kiedy ją znowu zobaczę.

Odcumowano statek, który zahaczał rozgłośnie, jakby chciał całej Wiśle oznajmić, że sam „Jagiełło” zmierza w dół rzeki. Zatoczył wielkie półkole i bijąc szerokimi łapami kół o wodę szukał głębi i wielkiego nurtu. Siadł na jego grzbiecie i płynął sapiąc odmierzoną oddechem. Piotruś sięgnął ostatnim spojrzeniem w stronę ulicy Dobrej – och, jakże dla niego dobrej! – i poczuł, że serce jego bije silniej. Musi tak bić. Piotruś jest na szerokiej drodze, która wiedzie w nieznaną. Dokąd go zawiedzie ta woda chłodna i obojętna, waląca z niezłomnym uporem przed siebie, nieczuła na to, czy niesie kawał drewna, czy serce człowieka? Jest to wielka woda, pracująca bez chwili spoczynku od zarania świata, więc nie obchodzi jej sprawy tak drobne jak pył. Ona ma napoić ziemie nadbrzeżne, obdarować je zielonym życiem i wlać w zachłanną, przeogromną gardziel morza swoje wody źródlane i roztopione śniegi. Jest to wielka rzeka, matka rzek, dostojna i jakby siwa. Toczy się jej nurtem odwieczna zgryzota, aby w niej wód nie zabrakło, tak jak żywej krwi w człowieku, więc zbiera po drodze i zagarnia w siebie rzeki-córki i strumienie-synów swoich, syci się ich białą krwią, pęcznieje ich bogactwem i rośnie. Każda kropelka wody jest dla niej bezcenna, a wciąż się trwoży, że słońce, co spieczone ma usta, wypije ją do dna. Gna przeto szybko przez puste połacie, niczym nie ochronione przed słońcem, zdyszana i wartka, byle się czym prędzej dostać pomiędzy rozchwiane ściany lasów, w głęboki cień, co z nich spęta zimny i siny. Wie o sobie, że jest karmicielką tych szerokich ziem, co padły na twarz i piją z niej spragnione; że bez niej uschną lasy, pokruszą się dęby i szczeźnie bezbronnie, wiotkie zboże. Oto niski brzeg przypadł ku niej i czołga się pokornie, jak spragniony pies. Pij, pij abyś nie zmarniał i abyś żył w zieloności! Oto człowiek bieży ku niej, pochyla się i nabiera w dłonie wody pomieszanej z odbitym błękitem. Pij, pij, abyś miał siły i mógł orać ziemię. Cała wielka

ziemia, szeroka i daleka, tuli się do niej, do rzeki błogosławionej, co się cudem bożym w każdej odnawia sekundzie, jak krew. Czymże jest ta rzeka Wisła, jeśli nie żyłą niezmierną, którą krew krąży nieustannie? Od lat tysięcy, od owych czasów, kiedy pierwszy dzień rozkwitł na ziemi jak blady krokus, szukał sobie drogi ten nurt nieustępliwy, od wiatrów zwiedziawszy się, w której stronie świata szumi czekające na niego morze. O tej rzece zasłyszały stworzenia żywe i zaczęły brnąć przez lasy i bory, bo tam, gdzie ona jest, tam tryska z ziemi siła rodząca i życie rośnie potężnym pnieniem, wysokie i mocne. Ludzie, którzy ją znaleźli w mrokach puszczy, osiedli na jej brzegach, mówiąc: – „Będziemy tu mieszkali na wieki wieków. Błogosław nam, rzeko!” – Umierali i rodzili się nowi, a ona trwała, wieczysta. Ci zaś, co umierali, nakazywali swoim synom, aby miłowali rzekę. Dlatego wszyscy, co się nad nią narodzili, miłują ją i zawsze będą miłować do skończenia świata.

W tej chwili dźwiga ona statek lekko i bez wysiłku. Udźwignie takich statków niezmiernie mnóstwo, jeśli będzie trzeba. Płynie powoli, mijając Zamek Królewski i sędziwe Stare Miasto tak w niej odbite, jak w splekanym zwierciadle.

Piotruś patrzy roziskrzonym wzrokiem na wysoki brzeg, na którym wieki budowały dla siebie kościoły i domy. Słońce praży dachy i oslepiającą strugą leje się po ich pochyłościach. Ponad nimi wytrysnęła białą chmurą gromada gołębi, co się zaperliły przez moment jak krople z fontanny aż pod niebo bijącej, zaróżowiły w słonecznym pyle i opadły gdzieś daleko. Na rzece jest szeroko i jasno. Nie ma już tego straszliwego muru, co zasłania świat cały biednym ludziom z ulicy Dobrej. Od rzeki wieje chłód rzeźwy i mokry. Miasto cofa się szybko, a po chwili niknie z oczu, nurt bowiem nagłym rzutem zatoczył się w bok ku zielonemu brzegowi zwisającemu ku wodzie.

Jakiś czar padł na chłopięcą duszę: niewidzialnym oparem podniósł się znad rzeki, obmył mu oczy i „załaskotał duszę tak tajemnie”, że się poczuła jakaś szersza, mocniejsza, gotowa do pędu i do lotu. W głębokiej wodzie głęboka mieszka tajemnica. Czasem w jednym świetlistym błysku, jak w rozbłyśnięciu błyskawicy, ukazywała się na kartach tych przedziwnych ksiąg, które Piotruś pochłonał, pełnych morza i wichru; w tej chwili całym sobą czuje dobrotliwą łaskę wielkiej wody; otacza go ona swoim szerokim rozlewem, woła, nęci, wita przyjaźnie, szmerze łagodnie i złotym uśmiechem, co tańczy na fali, do niego się uśmiecha. Chłopiec patrzy na wielką powagę matki polskich rzek z tkliwością nagle zbudzoną.

– Patrz, patrz, chłopcze, bo to śliczne! – przemówił ktoś do niego kładąc mu rękę na ramieniu.

Był to kapitan. Zaczął mu opowiadać o Wiśle, na której znał każdą głębinię i każdą płyciznę, wszystkie prądy i wiry, mielizny i łachy. Kochał tę „swoją” wodę i wszystko, co rosło na jej brzegach. Rosły na nich stare grody i omszałe miasta, twierdze czuwające na największej polskiej drodze. Jak długo dzień złocił się na wodzie, Piotruś patrzył zachłannymi, głodnymi oczami na wszystko. Po nocy, chlupocącej i rozkołysanej na wiślanej fali, pierwszy był na pokładzie i jak gdyby nową ujrzał rzekę. Cała była złana czerwonością ogromnego słońca: tak na niej było purpurowo, jakby wszystka krew, wylana w bojach o tę rzekę życiodajną, pojawiła się na wodzie. W nabrzeżnych łęgach pasły się ciężkie, sennie snujące się mgły, jak niezmiernie stado białych krów, lecz wiatr już je zganiał i precz pędził, jak pasterski, gorliwy w służbie pies. Nie minęła chwila, a rzeka już była odmieniona. Fala z purpurowej stała się bladoróżowa, po czym zaczęła srebrzeć, blednąć, jaśnieć, wreszcie błękitniała wszystka, gdyż niebo było przeczyście błękitne. Tylko wody pobrzeżne miały barwę głęboko zieloną, spłynęła w nie bowiem gęsta, zbita zieleń z chaszczów. Czasem zerwał się spośród nich przelękły ptak i zapadał niedaleko; czasem wzbił się spośród nich chybotliwy, gorzko pachnący słup dymu.

Znowu jeden dzień popłynął z wodą, jak złotem nakrapiana ryba i znowu noc bez szelestu zarzuciła sieci w wodę, aby z nich wyłowić utopione gwiazdy. Piotruś chciał czuwać, lecz

oczy mu się kleiły. Tak były pełne widoków srebrnych i błękitnych, szerokich i radosnych, rzeczywistych i odbitych w wodzie, że już nie mogły pomieścić ich więcej. Jeszcze nigdy nie widziały tyle od razu. Patrzył długo na drżące w rozpluskanej wodzie pale świetliste, białe w dno rzeki, w które słupem wbijało się każde nadbrzeżne światełko, wreszcie wszystko zaczęło mętnieć, chwiać się i tak kołysać, że niebo dotykało powierzchni wody. Piotruś usnął siedząc na jakimś napęczniałym worku, co się nagle zmienił w zaczarowany dywan bagdadzki, na którym latali perscy czarnoksiężnicy, po chwili bowiem opuścił gościnny pokład „Jagielły” i znalazł się na osmolonym i krwią zbryzganym „Koniu Morskim”, niosącym skarby z Portobelo, zrabowane Hiszpanom. Niechlujny kapitan Flint spojrział na niego krwią nabiegłymi oczami i zakrzyknął:

– Skąd się tu wzięłeś? Daj mi rumu!

Ochryple, pijackie i szorstkie, jak ryżowe szczotki, głosy piratów wykrzykiwały nieprzytomne słowa. Rudy jak płomień, śmieszny chłopak, Mac Darby, gwizdnął ze zdumienia, spojrzawszy na nowe świetne buty Piotrusia i trącił go kułakiem w bok. Piotruś zbudził się dotknięty jakąś ręką i chciał uciec, ale łagodny głos przemówił do niego:

– Miałeś niespokojne sny, Piotrusiu! Zbudź się, trzeba zobaczyć...

Chłopak zerwał się i nie wiedział, co się z nim dzieje. Posłyszał głośnie mlaskanie wody, a dookoła mnóstwo drżących świateł. Ostry wiatr, dziwnie pachnący, jakby przeniknięty zapachem smoły, uderzył go z nagłą w twarz. Oprzytomniał od razu i zapytał kapitana:

– Co to tak świeci, proszę pana?

– Diament wyłupiony z polskiej korony – rzekł kapitan z powagą. – Gdańsk.

– Gdańsk! – szepnął chłopiec.

– Tak. Jutro jednak zobaczysz perłę, którą wprawiliśmy na miejsce diamentu: zobaczysz Gdynię... – dodał kapitan z drzeniem w głosie.

III

Nikt i nigdy nie zapomni tej chwili, w której po raz pierwszy ujrzał morze. Wspomnienie to jest tak szumne, że się w sercu nie uciszy, tak szerokie i dalekie, że je widać z odległości wielu, wielu lat, a tak wzniosłe, że wyrasta ponad szarość i jednostajność wszystkich dni. Kto raz jeden ujrzał morze, ten zawsze będzie tęsknił za nim i szukał go znużonymi oczami; pamięta bowiem, pośród murów kamiennych zamknięty, że sponad brzegu morza widział zalaną błękitem dalekość; oddychając powietrzem parnym i dusznym przypomni sobie, że z morza pił surową, chłodną, przezrystą rzeźwość; wpatrzony w bitą, kamienną drogę, którą stąpa, przypomni sobie, że morze, którego krańca nie dojrzy ludzkie oko, podobne jest do nieskończoności. Dusza ludzka w najtajniejszym swoim pragnieniu, w najgłębszej swojej tęsknocie szuka do niej drogi. Tam bowiem mieszka nieśmiertelność. Dlatego lotnik wzbija się pod niebiosy, dlatego astronom szuka przejścia przez gwiazdziste pustynie, dlatego żeglarz ostatnim tchem napęlnia żagle, aby sięgnąć tam, „gdzie wzrok nie sięga”. Nieustanna, niezłomna pieśń morza jest hymnem na cześć bezmiaru, a bezmiar przypomina człowiekowi bezmiar inny: wieczność. Ten okręt, co się od ziemi odłączył, przypomina człowiekowi, że jego dusza pragnie wyrwać kotwicę, co ugrzęzła w mule małych spraw, smętnych ludzkich spraw, aby powędrować przez bezmiar. Okręt niosący człowieka niesie wielki ciężar: tęsknotę ludzką, co była wichrem okrętów Kolumba. Nikt i nigdy nie zapomni morza.

Gdy Piotruś ujrzał morze po raz pierwszy, zadrżał, jak mały pyłek na wietrze. Patrzył z wysokiego brzegu i pierwszym jego uczuciem był lęk. Morze dnia tego było bure, zjeżone, spienione i złe. Targała nim jakaś niecierpliwość albo gniew. Rozkołysało się i biło o brzeg ze

złą siłą, która chce niszczyć, jakby pragnęło rozwalić tę nienawistną zaporę, co się jego przeciwstawia nawałnicy i tamuje jego zaborczy pęd. Ponad nim, w stumanionym zamęciu, tłamsiły się chmury niskie, obrzękłe, ciężkie jak mastodonty, co wałą przed siebie skłębioną gromadą, przelewają się i padają jedne na drugie, wlokąc obwisłe, wydęte brzuchy tuż nad wodą. Fale, dotknąwszy ziemi, syczały jakby z bólu, jak syczy woda dotknąwszy rozpalonego żelaza, i cofały się pospiesznie.

Chłopiec stał długo, a wiatr zwiewał mu z serca lęk; czego ma się lękać? Groźniejsze i straszliwsze są te morza dalekie, które spiętrzonymi pod niebo falami huczą w książkach. Na grzbiecie każdej fali siedzi okrakiem śmierć, co zabija okręty, a przecie człowiek i takiego morza się nie lęka ani jego otchłani, ani jego wyszczerzonych zębów: poszarpanych skał. A to szare morze nie wpada nigdy w tę wściekłość, która przeraża. Piotruś wie o nim wiele. Wie, że je czasem gniew ogarnia i wtedy dymi tym gniewem i bryzga, lecz się szybko ucisza, jak ktoś dobry, lecz niecierpliwy. A czasem płacze, a Bóg jeden zna cierpienie morza. Człowiek znajdzie tylko niekiedy ogromną złotą łzę bursztynową. Nie trzeba, nie trzeba lękać się morza. Zostało ono zaślubione na wieki wieków polskiej ziemi i przyjęło pierścień wierności, a jak długo nikt tego pierścienia nie znajdzie albo go morze samo na brzeg nie ciśnie, tak długo będą jednym: polska ziemia i ono, polskie morze.

Piotruś, nakarmiony na zapas i serdecznie pożegnany przez kapitana „Jagiełły”, przebiegł wczesnym chmurnym rankiem przez Gdańsk jeszcze śpiący i ukrywszy jego widok w pamięci, jak w przepaścistej sakwie, zmierzał drogą ku Gdyni. Na granicy nie czyniono mu trudności i machnięto ręką ujrawszy jego dokumenty: uczniowską legitymację. Wystarczającym dokumentem była jego młodość, uśmiech i jasność spojrzenia. Na polskiej stronie wiozł go przez część drogi ku Gdyni jakiś rozklekotany ford, który miał przednie koła trochę niepewne, a tylne bardzo niepewne; pewne jedynie było to, że kierujący tym gruchotem palacz weźmie w razie potrzeby swój wóz na plecy i odniesie jego zwłoki do domu. Był to młody chłopak, silny i wesoły; gadał głośno, aby przekrzyczeć bociani klekot swojej wiernej maszyny, trzymającej się kupy wbrew wszystkim prawom fizyki, mechaniki i innych nauk ścisłych. Wóz ten musiał być opalany albo smołą, albo węglem drzewnym, bo buchał z niego dym jak z samowara, a na wyścigach ślimaków i żółwi do mety przyszedłby może trzeci. Palacz krzychał w prawe ucho Piotrusia, co i jak, a Piotruś odkrzykiwał w jego ucho wesołe odpowiedzi. Gdy wóz przystanął, aby odsapnąć przed nieznacznym wzniesieniem i dlatego na chwilę się uciszył, wesoły jego władca oświadczył Piotrusiowi, że jak długo żyje nie widział tak przyjemnego towarzysza podróży i życzy mu wszelkiego szczęścia nad morzem. Piotruś życzył mu uprzejmie, aby jego wóz dożył sędziwej starości i aby przetrwał pokolenia, co tak wzruszyło pogodnego człowieka, że obiecał odwiedzić Piotrusia w Gdyni. Bywa tam każdej niedzieli, bo ma tam ciotkę i wozi ją swoim pysznym wozem na dalekie spacery. Wóz bardzo trzęsie, a ciotka ma wewnętrzne przypadłości, więc to trzęsienie pomaga jej cudownie. Jedno jest tylko niedobre, gdyż ciotka waży sto siedem kilogramów, jeśli nie ma żadnych zmartwień, a ze zmartwieniami dochodzi do stu piętnastu, wskutek tego automobil wykrzywił się mocno na prawo, resory bowiem tak się ugięły, że nie mogą się już nigdy wyprostować. Niech Piotruś odwiedzi tę przyjemną ciotkę. Dobra to jest kobieta, tylko głucha jak skała, ale na migi każdy się z nią porozumie.

– A gdzie ciebie szukać w Gdyni, przyjacielu? – zapytał słynny automobilista.

– Żebym ja wiedział... – odrzekł Piotr.

– Gdzieś przecie będziesz mieszkał?

– Jak Bóg da. Nie wiem... Mam mało pieniędzy, przedtem muszę zarobić.

– O, to ciężka sprawa! Posłałbym cię do mojej cioci, ale ona za darmo też nie zechce. Za pieniądze też nie radziłbym ci tam mieszkać, bo kobiecina pali cygara i bardzo krzyczy przez sen. Ale czekaj no, bracie! Mam tam przyjaciela, który mi będzie do śmierci wdzięczny, bo go wiozłem moim fordem na ślub.

– I dojechał? – zaśmiał się Piotruś.

– Nie bardzo, tylko do połowy drogi, bo spadł deszcz, a mój wóz po mokrym nie chodzi. Zajdź ty, bracie, do niego i powiedz, że cię przysyła Józef, Józef Robak.

– A jak się nazywa przyjaciel?

– Po co masz obciążać pamięć? On ma długie nazwisko, takie jakieś warszawskie, ale go wszyscy nazywają „Szczerbaty”, bo nie ma na przodzie czterech zębów. Każde dziecko ci powie, gdzie go można znaleźć. Chłop jest mocny, więc nosi ładunki, a zębami tego nie robi, więc po co mu potrzebne zęby? W moim wozie brak coś siedemnastu części, a szelma chodzi, i to jak!

– Czy zęby mu wypadły?

– To za mało powiedziane!

– Wyrwali mu?

– To już bliższe prawdy... Wybili mu te zęby w czasie jednej wielkiej bitwy. Zawinął raz do Gdyni wielki okręt, a z okrętu wysypali się na ląd marynarze, gadający dziwnym językiem – Co to za farmazoni? – zapytał mój przyjaciel. Powiadają mu, że to Szwedzi. – Szwedzi? – pyta on. – Ci, co oblegali Częstochowę? A, niedoczekanie! – Tak się zawziął na nieszczęsnych Szwedów, że długo szukał z nimi awantury, aż wreszcie znalazł. Była wielka bitwa, w której mój przyjaciel posiał cztery zęby, bo to mocne chłopcy.

– A Szwedom nic?

– Nie można powiedzieć, żeby tak znowu nic. Jednego ponieśli na okręt, bo był bez ducha, a kilku długo siedziało na ziemi, nie wiedząc, gdzie się znajdują. Ale potem z wielkim szacunkiem opowiadali o moim przyjacielu. No, daj ci Boże zdrowie, bo ja tu skręcam.

Ford zaszczekał, zadymił, zaturkotał, warknął, przelazł z głębokim stękaniem przez rów i podreptał drożynką wśród pola. Piotruś zęgnął piekielny wehikuł okrzykami i śmiechem. Szedł potem ścieżkami wśród zarośli, wciąż mając morze po prawicy, w tę stronę, gdzie w coraz większym natłoku zjawiały się osiedla. Domy wyglądały z daleka jak stada białych owiec, ściągających ku wodnej roztoczy, aby pić. Drożyna wiła się wśród zieleni przygasłej w stalowej chmurności dnia to wyżej, to niżej, tak że głosy morza czasem cichły oznajmiając się nieustannym szemraniem lub rosły w chlupotanie i bełkot. Zapytana o drogę kobieta pouczyła go, że do Gdyni niedaleko.

Piotruś był bardzo zmęczony. Najwięcej męczyła go niecierpliwość; morze było blisko, a jednak daleko, on zaś pragnął jak najprędzej dojść do bramy, na wielkie wody wiodącej, do owej czarodziejskiej Gdyni. Dziwne to słowo słyszał tysiąc razy, znał je i każdą w nim literę czytał sercem wiele, wiele razy, a teraz je widział z chmurnej oddali, wbite w piaszczysty brzeg, zanurzone w rozchwianej wodzie; widział je własnymi oczami: pyszne, szeroko rozsiadłe, kamienne, mocne i morzu śmiało w twarz patrzące. W tej Gdyni rozpocznie swoje życie, które ofiaruje morzu. Myślał, że je ujrzy uśmiechnięte, pieszczotliwie szemrzące, niskie i takie barwne jak szmaragdowa łąka, po której snują się, jak białe motyle, białe skrzydlate łodzie, morze zaś było gniewne, zjeżone i złymi gadało głosami. Inaczej wyglądało na kolorowych obrazkach i w przyjemnych opowieściach.

Przystanął, aby odpocząć i patrzył znowu długą chwilę. W morzu jest coś, co więzi ludzkie pyłem zasnute oczy, coś co wciąż nawołuje ludzkie zalękłe serce. Morze tak wabi człowieka jak głąb górskiej przepaści i jak mroczna, rozlewna dalekość stepu.

Po chwili spojrzął dokoła siebie i ujrzał, że pomyłona i jak kręty strumień wijąca się ścieżka zawiodła go w obejście przedziwnego jakiegoś domu; ni to dom, ni to zagroda, dziwadło jakieś, do niczego niepodobne. Budynek był długi, niski, małymi patrzący na morze okienkami, oddychający czarną, okrągłą rurą komina. Na wysokim dragu, wbitym w niski, jakby spłaszczony dach, trzepotała się na wietrze wypełzła, w stu deszczach wyprana flaga o nieznanym barwach. Na jednej ścianie widniał napis: „Stella” czarnymi wypisany kulfonami, z których spływały w dół po murze czarne łzy; napis ten tak wyglądał, jakby się odbijał w

wodzie: to deszcze rozbawiły czarne litery. Dziwne domisko było zaniedbane i smutne. „Stella” – czyli „Gwiazda” – nie miała na sobie złościście drżących blasków; była to raczej czarna gwiazda, zgasła, umarła i strącona z nieba w nadbrzeżne zarośla jako nieużyteczny grat; Piotruś przyglądał się jej z ciekawością i mimo woli zbliżył się do wysokich schodków wiodących do zamkniętych drzwi, kutych żelaziwem mocnym, choć rdzawym.

Jakaś twarz ukazała się w małym okienku, sucha, długa i zmarszczona, nie wiadomo czy twarz kobiety, czy mężczyzny. Dopiero kiedy twarz wydała okrzyk cienki i piskliwy, można było przypuścić, że do głowy należy postać rodzaju żeńskiego.

– Człowiek za burtą! – krzyknęła twarz i zatrzasnęła okienko.

Piotruś wiedział, że słowa te są krzykiem alarmu, którym każdy człowiek na okręcie może oznajmić, że ujrzał człowieka w morzu i słowami tymi zatrzyma okręt. Ponieważ morze kołysało się w zapadłej oddali, a hasło zakrzyknięto na jego widok, bezpiecznie stojącego na bezpiecznym łądzie, więc nie rozumiał, czyje oznajmia nieszczęście? Sucha, długa i pomarszczona jak pieczone jabłko twarz ma – widać – skłonność do żartów. Uśmiechnął się i chciał iść dalej, w tej chwili jednak żelazem okute drzwi jęknęły jak na torturach i otwały się z pośpiechem.

Na wysokich schodkach ukazała się dziwna postać. Człowiek siwy i mocno sędziwy, z rozchełstaną na piersiach koszulą, w spłowiałym marynarskim mundurze, na którego rękawach wiły się poczerniałe, kiedyś złote naszywki, stanął we drzwiach i wbił w niego spojrzenie. Miał oczy jakby wypłowiałe, bez blasku, przenikliwe i czujne. Starannie wygolona twarz miedzianego niemal koloru tak była poryta płataniną zmarszczek i głębokich bruzd, że chłopcu dziwnym się wydało, w jaki sposób może po tej twarzy przesunąć się ostrze brzytwy? Tak go zajęła śmieszna myśl o brzytwie, że nie zauważył w pierwszej chwili tego, co starzec trzymał w ręku. Spojrzał i drgnął: stary człowiek miał w ręku karabin.

Przecie mnie nie zastrzeli... – pomyślał Piotruś.

Tamten zmrużył oczy i przez chwilę pilnie przyglądał się chłopcu; zdaje się, że spokojna i niepozorna postać chłopięca nie przedstawiała zbyt wielkiego interesu dla morderczej broni i nie warta była gniewu starego człowieka, opuścił bowiem broń i poprzestał na krzyku. Krzyk ten był chrapliwy i jakby najeżony kolcami.

– Czemu się tędy włóczysz? Ha? Czego chcesz?

– Niczego nie chcę... przechodzę... – odparł Piotruś nieśmiało.

– Jakim prawem? Tędy nie ma drogi!

– Nie wiedziałem... Już idę dalej.

– Czekaj! Nie ruszaj się, bo będę strzelał. Kto jesteś? Szpieg?

– Panie! – zawołał Piotruś z gniewem.

– Kto cię tu przysłał?

– Nikt. Idę do Gdyni.

– Co masz w tej walizce?

– Dwie koszule i książkę.

– Połóż walizkę na trawie, otwórz ją, a sam odejdz o trzy kroki.

Piotruś zawahał się. Nie wiedział, czy to żart, czy to zabawa, czy niespodziewana awantura?

– Po co mam to uczynić? – zapytał.

– Nie twoja rzecz! Rób, co ci każę...

– A jeśli tego nie zrobię?

Stary człowiek okazał szczere zdumienie.

– Wtedy cię zastrzelę. Otwieraj walizkę! Piotruś spojrział bystro w prawo i w lewo, badając, w którą stronę będzie mógł najłatwiej uciec; dziwny człowiek zrozumiał to spojrzenie i wpadł w gniew.

– Jeśli będziesz uciekał, przebiegniesz tylko pięć kroków. Prędzej, nie mam czasu!

Chłopiec, nie odrywając spojrzenia od twarzy starca, otworzył powoli walizeczkę i cofnął się. Tamten zszedł rześko ze stromych schodków i zbliżył się ku niemu.

– Panie! – powiedział Piotruś cicho. – Te dwie koszule to cały mój majątek...

– Królowie w dawnych czasach mieli tylko jedną.

Pochylił się i badał starannie biedne wnętrze walizeczki. Odgarnął niecierpliwym ruchem koszulę i wziął w rękę książkę.

– Co to jest? O morzu?

– Tak, o morzu.

– Brednie! To są kłamstwa i brednie... O morzu... cha! cha! Czy masz broń?

– Broń? – zdumiał się Piotruś. – Na co mi broń?

– Więc nie masz?

– Nie mam. Czy mogę już odejść?

– Panie! Masz mówić: „czy mogę już odejść, panie!” Tak się mówi do kapitana. Czytasz książki o morzu i nie wiesz o tym? Weź te swoje łachy! Możesz iść, ale pamiętaj, że jeśli jeszcze raz cię tutaj spotkam, zastrzelę cię jak fokę. A teraz marsz!

Piotrusiowi uczyniło się smutno. Oczy mu pociemniały, bo go te słowa smagały jak biczem. Zebrał swoje zawiniątko i rzekł chmurnie:

– W ten sposób nikt jeszcze do mnie nie mówił...

– Nie byłeś nigdy na okręcie, ty, cielu morskie! – zaśmiał się stary człowiek piskliwym śmiechem.

Wzruszył z politowaniem ramionami i jakby rad z przygody, znikł za drzwiami i jeszcze się śmiał.

Piotruś odszedł szybkim krokiem, wciąż spozierając poza siebie. Oburzony był, ale i przelękły, nie wiadomo bowiem było, czy ten dziwak, na spokojnej drodze napastujący ludzi, nie strzeli za nim. Straszny starzec! Kim on może być? Kazał siebie nazywać kapitanem... A może to wyższy jakiś oficer celnej straży, który ma prawo przetrząsać cudze walizki? To wydało się Piotrusiowi niemożliwe, straż graniczna bowiem ma swój posterunek gdzie indziej. To ktoś, co ma coś wspólnego z morzem. Tak, tak! W tej chwili przypomniał sobie, że ten dziwaczny dom, przed którym go chcieli zamordować, przypomina z grubsza kształt okrętu.

– To musi być chyba starosta morski – pomyślał Piotruś.

Czytał kiedyś o takim urzędzie, nie wiedział tego jedynie, czy taki dygnitarz urzęduje z karabinem w ręku.

Ścieżka w tym miejscu zakręcała się półkolem, otaczającym od strony Gdyni koszmarny dom i tworzyła jakby granicę niedużego skrawka ziemi, którą ten dom szpecił. Na pniu samotnego drzewa przybita była drewniana tablica, a na niej wymalowano dwie, na krzyż złożone kotwice, okropnie zadzierzyste i taki napis: „Zatoka stu tysięcy diabłów”. Pod tym piekielnym napisem wyobrażona była czerwoną farbą strzała, mierząca ostrzem w stronę domu.

Sto tysięcy diabłów? – pomyślał Piotruś. – Zdaje się, że to lekka przesada, jest tam bowiem tylko jeden, który ma strzelbę.

Obejrzał się mimo woli i w tej samej chwili rzucił się do ucieczki; z otworu prawie płaskiego dachu wynurzył się do połowy ciała ów dziwny człowiek i patrzył wprost w niego przez lunetę. Musiał ujrzyć jeniec skoki chłopca, bo krzyknął coś drżącym głosem i śmiał się głośno. Piotruś wpadł w chaszcze i zwolnił kroku w tym dopiero miejscu, z którego już nie było widać złego domu. Oddychał szybko, na twarzy miał rumieńce. Wtem usłyszał głos:

– Uwważaj, młody człowieku!

Wciąż patrząc poza siebie Piotruś nie dojrzał, że wpadł na drożynę, gdzie siedział na stołeczku chudy jakiś pan i malował morze na wielkim płótnie, rozpiętym na sztalugach. Jeszcze chwila, a chłopiec byłby wyrócił i sztalugi, i Bałtyk.

- Przepraszam pana – mówił zdyszany. – Ale ja musiałem uciekać...
- Zdarzało się to większym od ciebie bohaterom. Czy cię kto goni?
- Nie, nikt mnie nie goni, ale mnie chciano zastrzelić.
- Tam? W „Zatoce stu tysięcy diabłów”? – uśmiechnął się malarz.
- Tak. Skąd pan wie?
- To nie jest żadna sztuka, gdyż i mnie tam chciano zastrzelić i bardzo wielu innych. Sam kapitan, czy pewna chuda dama?
- Dama tylko krzyknęła, a kapitan wybiegł ze strzelbą.
- Aha! Oni tam mają taki ceremoniał. Nie bój się jednak, chłopcze, gdyż karabin starego kapitana nie jest nabity. On tylko tak straszy ludzi i wygania ich ze swojego terytorium. To poczciwy człowiek i wcale nieszkodliwy. Trochę, uważasz, z głową jest w nieporządku i wszyscy o tym wiedzą. Coś mu się uroiło, Bóg raczy wiedzieć co i wyprawia grzmiące awantury, ale nikogo jeszcze nie skrzywdził. Przeciwnie! Jeśli kto jest głodny, tutaj przychodzi i tutaj go nakarmią, ale pod jednym warunkiem. Musi stanąć pod drzewem, na granicy „Zatoki stu tysięcy diabłów” i głośno wołać, ale nie byle jak, lecz w marynarskim języku. Wielu drapichrustów już z tego korzystało, a stary człowiek karmi ich, bo – zdaje się – jest zamożny.
- A cóż oni wykrzykują?
- Najpierw trzeba zawołać: – „Ahoj, parowiec!” – albo: – „Stella, ahoj!” – Wtedy zwykle kapitan wyłazi z dachu, jak diabeł z pudełka, i odpowiada: – „Ahoj, szkuner! Czego żądacie?”
- Dwunożny szkuner krzyczy w niebogłose: – „Głód na szkunerze!” – Skoro parada jest skończona, rzucają z dachu domu albo z okna, byle jak najdalej od niego, zawiniątko z pożywieniem.
- Nadzwyczajne!
- Malarz zaśmiał się wesoło.
- Nic nadzwyczajnego... Jakiś poczciwy maniak bawi się w kapitana okrętu, a ten i ów z tego korzysta. Ale dokąd ty wędrujesz, chłopcze?
- Do Gdyni.
- Będiesz tam za dziesięć minut. Do rodziców na wakacje?
- Ja nie mam już rodziców. I nie na wakacje... Będę szukał pracy.
- Będiesz szukał pracy? – powtórzył malarz powolnym głosem. – Jesteś dzielnym chłopcem... I odważnym chłopcem... Szczęść ci, Boże! Ale wiesz, co ci powiem? Nie gniewaj się... Na wszelki wypadek zapamiętaj sobie drzewo na granicy „Zatoki stu tysięcy diabłów” i nie zapomnij tego hasła: – „Głód na szkunerze!”
- Czemu, proszę pana?
- Ot tak, tak sobie tylko mówię, bez celu. Bądź zdrow, młody panie, bo muszę malować. Blask padł na morze... A Gdynię masz przed sobą!
- Piotruś skłonił się uprzejmie i poszedł przed siebie zadumany.
- Chmury, czołgając się powoli, powlokły się w stronę lądu i morze cokolwiek pojaśniało. Dalekie, wzdęte kolisko widnokregu jeszcze było zasnute coraz to rzedziejącym mokrym mrokiem, na falach zaś, pospiesznie zdążających ku brzegowi, pokładła się jasność, co się przesączała przez szczeliny wśród chmur. Czasem nagły błysk padał na wodę jak mewa i ginął w rozchwianej bruździe. Po niedługiej chwili wiatr rozgarnął kosmatą łapą czarną chmurną ciżbę, ustępującą powoli i niechętnie; na niebie otwarła się głęboka błękitna grotka, pełna niebieskich przezroczystych blasków, tym jaśniejsza, im czarniej było dookoła. Otworem grotki buchnęła na świat uśmiechnięta łaska nieba, jak czasem na serce, owite czarnością ciężkich zgrzytot, pada łagodny, pełen słodkiego uśmiechu promień pociechy.
- Chłopiec patrzył zachwycony na chmurne igrzysko. Ten niebieski skrawek, coraz bardziej zwiększający się, nappełnił go radością. Ujrzał morze po raz pierwszy, a ponad morzem wisiała ciężka, zimna przemoc chmur, więc się morze jakby zapadło i jakby zmarszczone

było od cierpienia. Dlatego lęk ogarnął niedawno chłopięce serce, że takie jest zawsze oblicze morza, ku któremu on dążył z wielką ufnością. Tak nie jest, nie jest tak, na szczęście! Wiatr rozrywa coraz gwałtowniej mokrą, czarną, zbutwiałą strzechę i roznosi jej strzępy na wszystkie strony. W jednej stronie brzegi chmur zaczęły gwałtownie jaskrawieć, czerwienieć, potem złociec, jak czarne żelazo dotknięte żarem ognia; wreszcie trysnęły spoza ich poszarpanych zrębów ogromne strzeliste smugi świetlne i w blask bogate: to triumfalny, niemy krzyk słońca. Minęła jeszcze chwila, odmierzona wodnym zegarem morza, a ono ukazało się jak promienista twarz rycerza, co się wychylił spoza czarnej tarczy. Ciżba fal zaszemrała rozedrganym szeptem i zaczęła się czym prędzej stroić w blaski. Morze odetchnęło czystością błękitu, zachłysnęło się ze szczęścia i uśmiechnęło się. (Woda umie się uśmiechać, tak samo jak umie marszczyć się z gniewu lub drgać z bólu). Piana, ubita przez wiatr i niesiona przez fale, zaczęła szybko tajać i niknąć jak nietrwały wiosenny śnieg.

Chłopiec przystanął i rozjaśnionymi patrzył oczami. Dotąd widział morze w oddali, teraz patrzy na nie z bliska. Widok był tak przedziwnie piękny, że rzucił na niego urok. Zdawało mu się, że ten błękit wlewa mu się do serca i napędza je rzeźwym, młodym szczęściem; że jasność obmywa mu oczy pełne pyłu i tego mokrego mroku, co tak niedawno zalewał cały świat; że wszystko, co w nim dotąd gadało, co szemrało w nim i śpiewało, zamilkło nagle, a teraz całą jego duszę, milczącą, cichą i bezgłośnie napędza jeden głos: szerokopłynny, rozlewny, miękki, słodko rozszeptany głos morza. Poczul, że z daleka po wodzie lecąc, zbliża się ku niemu jakieś szczęście. Chciałby krzyknąć z radości, jak to jest w ludzkim zwyczaju, ale nie może tego uczynić; jakże zresztą ma krzyknąć nikłym, jak szkło kruchym niemocnym chłopięcym głosem, gdy tuż obok szumi potęgą, gada dostojność, lwim pomrukiem pomrukuje żywioł? Jakże pyłek mizerny będzie się oznajmiał ogromowi, co na widnokręgu dotyka nieba? Jakaś siła ugina jego kolana, aby ukląkł i pokornie pokłonił się wielkiej mocy i słońcem uśmiechającej się łasce morza.

Szczęście chłopca, nazwanego Piotrem, nie oznajmiło się okrzykiem. Stał poważny, milczący i od głębokich wzruszeń bardzo blady.

IV

Port w Gdyni pachniał wonią ostrą i przejmującą; można w niej było rozróżnić zmacone, nawzajem się przenikające zapachy najróżniejsze: zbutwiały, słodko-ckliwy przybrzeżnej wody, w której, jak w kotle nieustannie wrzącym, gotują się morszczyzny i trawy gdzieś z dala przyniesione i przy brzegu sponiewierane; lepki zapach oślizgłych ciemnozielonych mchów, porastających w białe w dno pale; mdły, tłusty i ciężki naftę, smoły i smarów; niemły, ze wszystkich stron zalatujący – ryb; gryzący zapach świeżej farby; w nozdrzach wierzący i duszący, wlokący się ciężko i nieustępliwy – spalonego węgla. Taką woń wydziela każdy wielki port. Wiatr zwiewa jej chmurę, ale port oddycha nieustannie jak kuźnia oddycha żarem. Marynarz z daleka pozna zapach portu. Ponad wszystkie zaś wonie polata woń niezmiernej łąki: morza, świeża, rozlewna i przenikliwa. Morze jeszcze jest daleko, a ten, co ku niemu się zbliża, wchłania ją w płuca zachłannie wraz z wiatrem.

Piotruś stał na brzegu tak blisko wody, że dotykała jego stóp. Ostatnie brzeżki fal tak były cienkie i przejrzyste jak łamliwe szybki nocnych jesiennych przymrozków; przyplływały, robotnice niestrudzone, i gładziły piasek tak starannie, aby żadne jego ziarnko nie wystawało ponad inne; jeśli po tej piaszczystej posadzce przeszedł człowiek i wygniótł w niej głębokie ślady, wygładzały je z nieprzerwaną gorliwością. Człowiek-Piotruś nie przechodził jednak, lecz stał długo, zapatrzony, nie zwracając na to uwagi, że woda dotyka jego stóp. Słuchał szmerów morza, ogarnął je oczami, witał je z bliska. Pozdrowiał wszystko, co jest na nim. Daleko, na redzie, chwiał się ledwie widocznym ruchem jakiś ogromny okręt łańcuchami

kotwic przykuty; do portu wracał z objazdu naszych morskich granic statek strażniczy „Batory”; śmigły delfin łodzi motorowej, terkocącej gniewnie, skakał po wierzchu fal ledwie ich dotykając.

Chłopiec był znużony. Trzeba było gdzieś odpocząć i coś ze sobą uczynić. Odszedł znad brzegu powoli i zwrócił się w stronę miasta. Nikt na niego nie zwracał uwagi, on zaś zwracał uwagę na wszystko. Poznał od razu, że w tym nowym mieście, rosnącym nad wodą, wyczarowanym na pustaci piaszczystych wydm, życie ma jakiś inny rytm. W miastach odwiecznych, zasiedziały, sędziwych, takich jak Warszawa, którą znał dobrze, życie płynie nurtem spokojnym. Setki lat przygotowały mu pewną, bitą drogę, potężnie murowaną; długie wieki rozdzieliły pomiędzy siebie radość budowania, dumę tworzenia i pragnienie pozostawienia tym, co kiedyś przyjdą, siedziby wspaniałej i ogromnej. Była to praca długa, powolna i pełna namysłu. Nie od razu Warszawę zbudowano. A tu, w tej Gdyni nadmorskiej, kilka zaledwie lat, maleńka ich gromadka zapragnęła uczynić to, co gdzie indziej czyniły wieki, wielka ciżba lat długich i uznojonych. Zdawało się, że ludzie powiedzieli sobie: – „Nie mamy czasu! nie mamy czasu! Pracujmy szybko, budujmy jeszcze szybciej!” – Ogarnęła ich wszystkich taka cudowna niecierpliwość, taka szlachetna furia pracy, taki zapal potężny, że świat cały, do prac najcięższych zaprawiony, zdumiał się i patrzył ciekawie. Jak można zbudować wielki port na płowych, jałowych piaskach, na ugorze oranym jedynie przez wichry? Inne wielkie porty świata są dziełem pokoleń; jedno rzucało podwaliny, drugie kładło tamy przeciw naporowi morza, dziesiąte budowało spokojne gniazdo dla zdyszanych, z daleka płynących okrętów, piętnaste stawiało spichrze, gmachy i stocznie. Walka z nieokleźnaną potęgą morza jest ciężka i trudna i „walką jest wszelkie żeglowanie”. Morze rozbija kamienne tamy, które się kładą przeciw jego przemocy, przeto tamy muszą być straszliwie potężne, budowane przez długie, długie lata, trudem niepoliczonych rąk. Wiedzieli o tym wszystkim polscy ludzie, a jednak rozpoczęli kamienną, twardą pracę. Gdyby się byli zawahali, gdyby byli dopuścili do siebie na jeden choćby moment ów lęk, co w morzu mieszka i z jego głębin nagle się wychyla, nie rozpoczęliby jej nigdy. Pracę tę, tysiącokrotnie większą od tej, co wznosiła piramidy, rozpoczęła odwaga dumna i jasna. I wtedy jednak mogli jej nie dokonać, gdyby nie pomnożyli sił; uczyniła to: miłość i radość. Źle pracuje ten, co pracuje bez miłości; spojrzenie ma mętne, a ramiona bezsilne. Nie wierzy we własny trud, oblewa go goryczą łez, przeklina własną pracę. Łzy są złym, kruchym i zwietrzałym cementem. O, jakże inaczej buduje, miłość! Polska ogarnęła morze taką miłością, serca tak się na jego rozśpiewały widok, dusze wchłonęły je w siebie z taką gorącą żarliwością, że jak Kordian był „Polską obłąkany”, tak Polska stała się „morzem obłąkana”, morzem co wieczyście żyje, co oddycha, co karmi, co jest drogą na szeroki świat, co jest szczęściem i radością, wolnością i potęgą. Ta niezmierna miłość morza przelała się gorącą, rozszumianą strugą w pracę, gdy temu morzu błogosławionemu postanowiono wybudować przybytek, bramę triumfalną, królewską stolicę. Gdy trud zaczynał krwawić, kiedy pot zalewał oczy, kiedy omdlewały ręce, jedno pełne niewysłowionej miłości spojrzenie na morze wystarczyło, aby człowiek odpoczął i nowych nabrał sił. Zdawać się mogło, że na dalekim morzu mieszka moc, która przypląwa o świcie każdego dnia i poi sobą rozmiłowane polskie serce. Anteusz odzyskiwał moc utraconą dotknąwszy ziemi. Polska odzyskała moc swoją dotknąwszy morza. Dlatego w pracy jej przeogromnej jest przeogromna miłość i dlatego świat cały patrzy z podziwem.

Źle pracuje ten, co pracuje bez radości, w mrocznym smutku, zimnym, stęchłym i ociekającym mętlem łez. Radość zaś ma tysiąc ramion zamiast dwóch; radość przedłuża dzień, a noc czyni krótszą. Radość dźwiga lekko takie głazy, na które smutek patrzyłby z przerażeniem. Smutek kopie groby, radość bucha w górę kamiennym, wzniosłym, strzelistym krzykiem wież. Naród, co znalazł radość w swoim sercu, jest wielkim Narodem. Radość pieni się w nim, przewala, szumi z krwią, śpiewa i woła rozgłośnie: – „Wyjźmy na wielkie morze,